



Archiwum Andrzeja Gowarzewskiego

Czterej Ślązacy – Gerard Cieślik z Hajduk Wielkich, Stefan Florenski z Sońnicy, Henryk Szymborski z Małej Dąbrówki oraz Marceł Strzykowski z Nowego Bytomia w kadrze przed meczem z Węgrami na Stadionie Śląskim, wrzesień 1958 r.

## **GÓRNOŚLĄSKI OKRĘG PIŁKARSKI**

Z **ANDRZEJEM GOWARZEWSKIM** ROZMAWIA ADAM DZIUROK



Otwarcie stadionu Ruchu w Hajdukach Wielkich – z prawej protektor budowy największego wówczas w Polsce obiektu – wojewoda Michał Grażyński, z lewej insp. Janek, wiceprezes Ruchu. 29 IX 1935 r.

**Adam Dziurok:** *Tradycja gry w piłkę nożną na Górnym Śląsku sięga początku XX w. Jaki był ten pionierski okres i czy piłka nożna szybko zyskała tutaj zwolenników?*

**Andrzej Gowarzewski:** Futbol jest brytyjskim wynalazkiem, a początki zorganizowanej gry sportowej na Wyspach sięgają połowy XIX stulecia. Na Śląsku pojawił się pół wieku później, także z inspiracji brytyjskiej. Wkrótce większe były w tym regionie, ze względu na sąsiedztwo i na odległość dzielącą nas od Wysp, wpływy niemieckie. Na Śląsku, blisko naszych okolic, był to Racibórz w 1903 r., a dwa, trzy lata później Katowice, które obok organizacji gimnastyczno-społecznych, miały już swoje organizacje *stricte* piłkarskie. Zmieniło się to z chwilą przejścia części Górnego Śląska – albo powrotu Górnego Śląska do Rzeczypospolitej, dlatego że powstały kluby polskie. One w praktyce przed 1920 r. nie istniały, a jeśli istniały, nie podkreślały narodowego charakteru. Kluby piłkarskie

powstawały początkowo na apel Polskiego Komisarjatu Plebiscytowego Korfanteo. Tam działał Maksymilian Wilimowski – nazwisko znane w piłce, chociaż ten, o którym mówię, nie miał nic wspólnego z piłkarzem. Był to wykształcony w świecie człowiek, który zajmował się propagowaniem ruchu sportowego. Kluby, które powstawały na apel Komisarjatu, przywoływały polskie tradycje na Śląsku i poprzez nazwy, jak Polonia czy Poniatowski, stały się nośnikami tradycji i kultury polskiej. W 1925 r. władze państwowe doprowadziły do likwidacji niemieckich struktur sportowych. Organizacja, zgodnie z zaleceniami FIFA, była wyłącznie państwowa i była to organizacja polska. Natomiast w ramach tej organizacji mogły istnieć kluby o zabarwieniu narodowym – na Śląsku głównie niemieckim, chociaż funkcjonowały także liczne kluby o orientacji żydowskiej. Popularność piłki stała się jednym z fenomenów kulturowych, ale nie jest to wyłącznie przywilej Śląska. Piłka praktycznie w każdym miejscu na świecie stawała się in-



Pierwszy mecz Ruchu w roli mistrzów Polski – 29 IV 1934 r. „Na Kalinie” przed spotkaniem, stoją, od lewej: Teodor Peterek, Ernest Wilimowski (strzelił pierwszą bramkę w lidze), Walter Panchyrz, Ewald Urban, Franciszek Zorzycki, Józef Ślusarek, Jan Badura, Gerard Wodarz, Edmund Giemsa; kłęczą: Artur Ploch (rezerwowy bramkarz), Eryk Tatuś, Stefan Katzy.

teresująca dla bardzo licznych rzesz ludności. Z tym że jedno zastrzeżenie jest tutaj niezwykle ważne: piłka była sportem czy zjawiskiem związanym z miastami i przemysłem. Nie ma w historii futbolu klubów, które by osiągały wielkie znaczenie poza wielkimi miastami czy bogatymi miastami, poza skupiskami, nazwijmy to, klasy robotniczej czy ludzi związanych z produkcją przemysłową. Dlatego Śląsk stał się bardzo szybko, bo już na przełomie lat 20. i 30., największą siłą sportową w kraju, miał najwięcej, i to najsilniejszych, klubów, a jednocześnie najwięcej utalentowanych zawodników. Konkurentami zrazu były stolica wschodniej Galicji, czyli Lwów, i Małopolska, gdzie

powstały pierwsze polskie organizacje i kluby. Pamiętajmy, że pod zaborem austro-węgierskim rygorystycznie ograniczającą samorządność społeczną mieszkańców były łagodniejsze niż w zaborze pruskim czy rosyjskim. Ale z chwilą, kiedy na Śląsku stało się możliwe kopanie piłki zorganizowanej, bardzo szybko Ruch, jako flagowy przedstawiciel tego regionu, stał się najsilniejszą drużyną w Polsce, zdobywając pięć tytułów mistrzowskich przed wojną.

*Lata 30. to właściwie dominacja Ruchu. Pan wspominał Polskę, ale Ruch też nawiązuje do tradycji patriotycznych. Dlaczego był nazywany tym najbardziej polskim klubem na Śląsku?*

Władze polityczne bardzo wcześnie zauważyły, że poprzez sport można propagandowo bardzo wiele zyskać. Grażyński, który w 1926 r. pojawił się jako wojewoda, bardzo szybko odkrył, że dzięki zwycięstwom polskich drużyn można zyskać coś dla sprawy narodowej. Ruch, kiedy zdominował rozgrywki w Polsce, a przynajmniej zmierzał ku temu, aby być najsilniejszą drużyną w kraju, zyskał w osobie wojewody przyjaciela. To z inicjatywy Grażyńskiego robiono wszystko, aby był to flagowy okręt polskości sportowej na Śląsku. To Grażyński doprowadził do budowy pierwszego na kontynencie europejskim stadionu tej wielkości – dla 30–40 tys. widzów – który miał krytą trybunę bez podpór. Dopiero później we Francji, w Niemczech, na Wyspach Brytyjskich pojawiły się takie stadiony. Trybuna ta została kupiona przez wojewodę śląskiego dzięki pomocy patronów klubu, czyli Huty „Batory” oraz Browarów Książęcych w Tychach, które też partycypowały w utrzymaniu zespołu. Została odkupiona z wystawy Międzynarodowych Targów Poznańskich, gdzie prezentowała osiągnięcia Stanów Zjednoczonych. Po wystawie Amerykanie stwierdzili, że bardziej im się opłaca zostawić tę trybunę gdzieś w Polsce czy w Europie, niż wywozić ją do siebie. W związku z tym wymyślono, że może ona stanowić zadaszenie reprezentacyjnego stadionu w Chorzowie (wtedy jeszcze Hajdukach Wielkich). I właśnie dzięki działaniom polskich władz Ruch stał się firmowym klubem na arenie polskiej i międzynarodowej. Jakoś poszły w zapomnienie sukcesy Ruchu nie tylko w Polsce (w lidze był drużyną w zasadzie nie do pokonania), ale także liczne osiągnięcia w Rzeszy Niemieckiej. Przecież w latach 30. Ruch wyjeżdżał na tournée, spotykał się z drużynami, które dzisiaj mają etatowe miejsca w Bundeslidze, które są drużynami znanymi i cenionymi na świecie. To Ruch, jako jedyny w historii polski klub, pokonał Bayern, i to w Monachium [1:0 w 1934 r. – przyp. A.D.]. To Ruch wygrywał w Stuttgarcie [5:4 z VfB Stuttgart – przyp. A.D.], w Düsseldorfie, Dortmundzie, w Berlinie. Zresztą te osiągnięcia sportowe przekładały się na nagrody ministra spraw zagranicznych, który fundował nagrodę

Archiwum Andrzeja Gowarzewskiego



Ernest Pol i Lucjan Brychczy, legendy Legii – wielcy polskiej piłki, pierwszy wrócił w rodzinne strony, drugi pozostał w stolicy. 20 III 1960 r.

mającą uhonorować polskich sportowców, którzy przysporzyli krajowi najwięcej sławy na arenie międzynarodowej.

*Ta dominacja Ruchu była możliwa, m.in. dzięki „trzem królom ze Śląska”, jak ich pan określił. O jakich graczy chodziło?*

Chodziło o Gerarda Wodarza, Ernesta Wilimowskiego i Teodora Peterka. Było to trzech napastników – każdy z nich był inny charakterologicznie, fizycznie i sportowo, ale w sumie, mimo iż wiem, że się nie za bardzo lubili, na boisku zdawali się w sensie sportowym absolutnym monolitem. Kończył się mecz i oni się rozchodzili, jeden szedł na piwo, drugi pił wino, trzeci spieszył do żony. W wymiarze sportowym byli to gracze klasy międzynarodowej. Gdyby organizowano wówczas plebiscyty na najlepszych piłkarzy Europy, każdy z nich bezdyskusyjnie miałby tam miejsce w pierwszej dziesiątce. Najlepszym, najgłośniejszym z nich okazał się, i to bardziej z perspektywy dzisiejszych czasów, Ernest Wilimowski. Bo wówczas Wilimowski był bardzo dobry, ale Peterek i Wodarz nie byli gorsi. Wilimowski nie wynosił się ponad nich, jak gwiazda. Nie miał na to szans, ponieważ klasa jego partnerów była równie imponująca. Wilimowski jakby przeczył temu,

co się mówiło o Ruchu, że to polska drużyna, bo przyszedł do Chorzowa z klubu, który nie ukrywał swoich tradycji i sympatii proniemieckich. Był to 1. FC Kattowitz i chociaż władze doprowadziły do tego, że zmienił nazwę na polską, czyli Pierwszy Klub Futbolowy w Katowicach, to mówiło się, że kto idzie do FC, to ma określone sympatie. Wilimowski przyszedł jako nastolatek, jako 17-letni chłopak. Wokół jego transferu też miały miejsce bardzo silne zabiegi polityczne, dlatego że wiadano o jego talencie, o jego miejscu w drużynie katowickiej, która wcale nie chciała się go pozbyć. Za to, że Wilimowski przyszedł do Chorzowa, FC otrzymał trzech bardzo dobrych piłkarzy z Ruchu, którzy przeszli do drużyny Katowic, żeby miała ona szanse utrzymania sportowego poziomu. Ale Wilimowski w barwach Ruchu ani przez moment nie był traktowany jako człowiek obcy. On sam zawsze nazywał się do końca swoich dni Górnoszlązakiem. Uciekał od deklaracji, czy jest Niemcem, czy Polakiem, chociaż grał w obu reprezentacjach i w obu reprezentacjach w jakiś sposób jest dzisiaj niedoceniany. W Polsce zapomina się, że takiego piłkarza chyba nie było, mimo że po nim byli Ernest Pohl, Gerard Cieślík, Włodzimierz Lubański, Zbigniew Boniek, Kazimierz Deyna. Wilimowski prezentował wyższą klasę w sensie talentu i tego, co osiągnął w Polsce do 23. roku życia. Nie miał sobie równych, a gdy w czasie okupacji został powołany do kadry Rzeszy, nie mógł za bardzo odmówić. Jako piłkarz Niemiec w pierwszych ośmiu spotkaniach (bo tyle do przerwania w czasie wojny występów reprezentacji Niemiec mógł rozegrać) zdobył 13 bramek. Osiągnął taki bilans, że wszystkie Gerdy Müllery [Gerd Müller w latach 1966–1974 w 62 meczach reprezentacji Niemiec strzelił 68 bramek – przyp. A.D.] i inne gwiazdy futbolu niemieckiego, które się potem pojawiały, nie mogą się z nim równać w sensie piłkarskiej skuteczności strzeleckiej. A to, że on nie był rodowitym Niemcem, że pojawił się w zespole Rzeszy w wyniku, powiedzmy, historycznych burz, skutkowało tym, że o ile dla polskiej opinii Wilimowski jakby przestał być swój, tak dla Niemiec nigdy swój się nie stał.

*Do legendy przeszedł mecz Polski z Brazylią w 1938 r. i jego cztery bramki. Dlaczego jednak nie strzelał wówczas rzutu karnego, który sam wywalczył? Tak samo było m.in. w meczu z Węgrami.*

Wilimowski uważał się za tak dobrego piłkarza, że wspomaganie się uderzeniem z rzutu karnego, ze stojącej piłki w kierunku bezbronnego bramkarza było poniżej jego godności. On nie strzelał karnych nie tylko w reprezentacji, ale także w lidze, zostawiając to Peterkowi. Co ciekawe, Peterek do dzisiaj uchodzi za mistrza rzutów karnych. Ale gdy policzyliśmy mu te wszystkie wykonane karne, to okazało się, że miał skuteczność 52 proc.! Czyli prawie co drugi był nieudany.

*Mówimy cały czas o graczach, ale jakąś rolę odgrywali w tamtych latach trenerzy?*

Wydaje mi się, że stosunkowo niewielką. Starano się wykorzystać umiejętności trenerów z zagranicy, gdzie ta funkcja była już w klubach popularna. W Polsce dopiero na początku lat 30. Centralny Instytut Wychowania Fizycznego w Warszawie, dzisiejszy AWF na Bielanach, zorganizował kursy instruktorские. To była pierwsza próba wykształcenia fachowców w dziedzinie treningu sportowego, piłkarskiego, dziś byśmy absolwentów nazwali instruktorami. W niektórych klubach pracowali, w innych zdobywali doświadczenie, kształcąc się na zawodnikach, często ich kosztem. Nie zawsze to było udane. Natomiast kluby bogate, jak lwowskie, śląskie, łódzkie, warszawska Polonia i Legia, zatrudniały ludzi z zagranicy. Byli to przede wszystkim Austriacy, Czesi i Węgrzy. Większość z nich znała język, jeśli nie polski, to posługiwała się czeskim, słowackim, bo tak się tam w tym tyglu mieszało. Byli także trenerzy niemieccy, ale nie w sensie umiejętności. Kurt Otto, który w 1935 r. został zatrudniony przez PZPN jako trener reprezentacji po to, żeby wprowadzić w kadrze wzory europejskie. Należy pamiętać, że od początku lat. 30. polska reprezentacja, głównie dzięki siłom śląskim, szła jak burza w hierarchii europejskiej i świa-



towej. Gdyby nie odrobina pecha w meczu, o którym Pan wspominał, z Brazylią, gdyby nie pewne złe decyzje polityczne w 1936 r. związane z olimpiadą, to Polska byłaby krajem o sile medalowej w pierwszej trójce. Wydawało się, że w roku 1940 na olimpiadzie Polska powinna lekko wygrać, a w 1942 r. na mistrzostwach świata to my dopiero pokażemy. I to nie były przechwałki. Tak się w środowisku mówiło, dlatego że ci piłkarze, którzy byli reprezentantami, głównie Ślązacy, prezentowali dobry poziom międzynarodowy. Brakowało jednej rzeczy – finansowego zastrzyku ze strony sponsorów, co miało już miejsce w Anglii, ale też na mecze np. Ruchu chodziło po 20–30 tysięcy widzów. Mimo że ceny biletów, jak na śląskie zarobki były umiarkowane, przynosiło to olbrzymie pieniądze, jakich nie miały inne kluby w Polsce.

*Natknąłem się na opinię szefa PZPN, który po meczu z Węgrami, rozegranym kilka dni przed wybuchem wojny i wygranym 4:2, powiedział, że polskie piłkarstwo rozpoczęło swoją historię właśnie od tego meczu. Ciekawe jest to, że wszystkie bramki w tym spotkaniu strzelili zawodnicy klubów śląskich. Trzy Wilimowski, a jedną dorzucił Piątek. A w całej drużynie było pięciu, jak doliczyłem, reprezentantów, i to różnych, śląskich klubów.*

Jeszcze trzeba do tego doliczyć Pawła Cyganka, który wtedy reprezentował Fablok Chrzanów. On też był ze Śląska – to był Ślązak z Wirka. Pan tego nie wie, ale on był w kadrze Herbergera [Josef „Sepp” Herberger – selekcjoner reprezentacji Niemiec w latach 1936–1964 – przyp. A.D.], tak jak Wilimowski. I został wyrzucony za to, że w czasie treningów, jak były jakieś spięcia w sportowej walce, reagował emocjonalnie po polsku.

*Chciałbym zapytać o specyfikę przedwojennych klubów, gdyż one się trochę różniły od tych, które funkcjonowały po wojnie. Mówi się np., że niemal wszyscy zawodnicy Ruchu pochodzili z Chorzowa i mieszały w sąsiedztwie stadionu.*

To nie do końca prawda, większość, powiedzmy, była ze Śląska. Byli z Hajduk, z Chorzowa,

z Rudy, z Katowic, ale dlatego że to były bardzo silne miejskie, przemysłowe ośrodki. I to dawało popularność piłki.

*Zatem dochodziło do takich sytuacji, że w jednej dużej aglomeracji było kilka klubów. Na przykład z Chorzowa w lidze były Ruch i AKS. Tak samo w Bytomiu – Polonia i Szombierki. Czym różniły się te kluby?*

Za rozwojem klubów sportowych szła miejscowa tzw. klasa robotnicza i szły zarobki ludzi wynikające z pracy w przemyśle. Dlatego że kluby utrzymywali w 90 proc. widzowie. Gdy na mecz przyszły 3–4 tys. ludzi, jak w Świętochłowicach, to klub był biedniejszy niż Ruch, który miał 20 tys. na każdym meczu. Tak samo było w AKS, któremu w 1925 r. władze wojewódzkie zafundowały stadion, który nazywał się Stadionem Śląskim, ale ta nazwa szybko wyszła z obiegu i pojawiła się 30 lat później, kiedy powstał ten dzisiejszy Śląsk. Jedne kluby miały większe wpływy mieszczańskie, urzędnicze, inne bardziej robotnicze, ale i takie, w których nie widziało się tego nacisku politycznego i tej troski władz o to, żeby ten klub promował miasto, kulturę czy narodowość. Ale jak się analizuje te zjawiska, to po pierwsze było to miasto, po drugie przemysł, po trzecie polityczne działania, aby poprzez klub, poprzez piłkę, zdecydowanie najpopularniejszy sport, który skupiał najwięcej ludzi, uzyskiwać jakieś korzyści, także propagandowe – z punktu widzenia interesów władzy samorządowej czy państwowej bardzo istotne.

*Po wojnie już to zróżnicowanie w zasadzie zniknęło.*

Po wojnie zniknęło, chociaż przez wiele lat jednak trwało. Wspomniał Pan o Bytomiu. Były tam dwa kluby: jeden, który nawiązywał do tradycji klubu sportowego Poniatoński, powstałego w dzielnicy Szombierki w 1920 r., i Polonia, która na bazie obiektu niemieckiego klubu ze stadionem stała się przytuliskiem dla Kresowiaków. I to nie Kresowiaków z klubu, tylko ze wszystkich klubów utraconego obszaru

Rzeczypospolitej, bo tam byli i wilniacy, i ludzie z Wołynia, i lwowiacy, i Stanisławów, i Drohobycz. Ci wszyscy przybysze, którzy osiedlili się na Śląsku, pozostawali w bardzo wielkim sporze co do nazwy klubu. Było kilka głosowań i losy nazwy się ważyły, bo byli Czarni, miała być Pogoń, Legia. Wreszcie krakus Edward Madejski powiedział: „Chłopcy, nie kłóćmy się, nazwijmy to Polonią i wszyscy będą zadowoleni”. I tak powstała Polonia Bytom. Ona była ostoją, firmowym klubem wspólnoty kresowej, która zmieniła miejsce zamieszkania i przyjechała na Śląsk. Polonia i Szombierki, które też miały siedzibę w tym mieście, i rywalizowały ze sobą na poziomie elity krajowej. I Szombierki, i Polonia zdobywały tytuły mistrza Polski. Nigdy nie byli to przyjaciele. Nigdy nie były to te same środowiska, bo Szombierki skupiały ludność autochtoniczną, śląską, taką, która na Kresowiaków mogła patrzeć z sympatią, ale nie zapominała, że to są „gorole”. Największymi asami Polonii nie okazali się jednak Kresowiacy. Najlepszym zawodnikiem był bytomianin Jan Liberda, który po polsku mówił z twardym akcentem, co zdradzało, że on na pewno z Gródka Jagiellońskiego nie pochodzi. I tak to wyglądało. Na piłkarskiej mapie pojawiło się też Zagłębie Sosnowiec, jako pierwszy klub zza Brynicy. Do elity krajowej doszedł trochę przy pomocy władz, które poświęcały mu dużo troski, głównie finansowej, poprzez przypisanie do górnictwa w Zagłębiu. Z tym że w Zagłębiu Sosnowiec przez wiele lat siłę sportową dawali Ślązacy, którzy z małych klubów lokalnych Górnego Śląska przekraczali Brynicę i stawali się tam liderami, np. Roman Bazan, Józef Gałeczka – symbole klubu, choć pochodzili z Chorzowa, z Gliwic.

*W jakim stopniu prawdziwa jest legenda, że to Gierek manipulował rozgrywkami, nakazując powiększenie liczby drużyn w lidze, żeby utrzymać w niej Zagłębie?*

Nie było takiej sytuacji. Po przełomie 1989 r. rozmawiałem z prezesami klubu z lat 60. i 70. Mówili zgodnie, że Gierek to był straszak, Gierek nigdy nikomu nie powiedział, że jego to

interesuje, aby Zagłębie zostało w ekstraklasie. Choć Gierek ujawniał swój rodowód, czyli Sosnowiec (często powtarzał, że interesuje się Klubem Sportowym Zagłębie) to my – mówili prezesi Zagłębia – jak była ciężka sytuacja, strasziliśmy konkurentów, i ci na wszelki wypadek nie tyle, że oddawali nam mecze, ale widząc naszą ciężką sytuację i zagrożenie spadkiem, pomagali nam się utrzymać, no bo a nuż... Z tym że nie było działań bezpośrednich. Istniała taka otoczka i atmosfera tworzona przez zagłębiaków, przez ludzi z klubu.

*Dlatego Zagłębie się utrzymywało. Mówiono wtedy, że „Zagłębie na czele, jak odwrócisz tabelę”.*

No bo to prawda. Oni byli na końcu. Robiłem wtedy dla „Sportu” taki reportaż. I wszyscy wiedzieliśmy, że Zagłębie się utrzyma, bo oni, wbrew zasadom transferowym, kiedy upłynęły już wszystkie terminy, naruszając przepisy, ściągnęli bodaj pięciu zawodników. Nadali tej drużynie inną moc i ona już sobie w lidze z tymi nowymi nabytkami poradziła. Eugeniusz Szmidt przyszedł, Władysław Szaryński z Górnika Zabrze... Ludzie, którzy mieli dość potencjału sportowego, by w pojedynkę wygrywać mecze. Ale to wzmocnienie klubu odbywało się wbrew przepisom transferowym.

*Po wojnie powstały nowe potęgi piłkarskie. Jak budowano potęgę Górnika Zabrze?*

Trzeba zacząć od tego, że na przełomie 1949 i 1950 r. dokonano w Polsce na wzór sowiecki, jak mówiono, klasyfikacji klubów, przypisując je do poszczególnych branż: górnictwo – Górnik, hutnictwo – Stal, przemysł włókienniczy – Włóknierz, transport – Kolejarz, kluby milicyjne – czyli Gwardia, kluby wojskowe – OWKS i CWKS (Okręgowy Wojskowy Klub Sportowy i Centralny Wojskowy Klub Sportowy) z taką intencją, że te resorty czy ministerstwa będą pomagały utrzymywać te kluby. I tak to było. W 1948 r. powstał klubik pod nazwą Górnik w Zabrzu. Miejscowi działacze, w tym prezydent miasta Dubiel, stwierdzili, że nie potrzeba





Archiwum Andrzeja Gowarzewskiego

Gerard Cieřlik (w białej koszulce) w epoce stalinowskiej – portrety przywódców Stalina, Bieruta i Gottwalda; mecz z Czechosłowacją w Warszawie. 22 X 1950 r.

w mieřcie czterech czy szeřciu klubów, że jak je połączą, to będą mieli jeden silny klub. I zrobiono Górniką, który od klasy A zaczął awansować i po pięciu latach dostał się gdzieś tam do II czy III ligi. Górnictwo szukało klubu, który byłby klubem sztandarowym dla resortu. No i wybór padł początkowo na Radlin, na Niedobczyce. Klubem, który w pewnym momencie po wojnie zaczął odgrywać znaczącą rolę na tym terenie, był Rymer Niedobczyce. Tam działał Wilczek, który przed wojną grał w Śmigłym Wilno

i wprowadzał Śmigłego do ekstraklasy, bardzo dobry piłkarz. Minęło dziesięć lat, on już nie był taki dobry, ale zgromadził wokół siebie bardzo dobrych graczy. Niedobczyce zostały następnie wchłonięte przez Górnikę Radlin i to był najsilniejszy klub górniczy w latach 1951–1953. W pewnym momencie ministerstwo zaczęło ściągać do Radlina dobrych piłkarzy z Polski, z okolic reprezentacji: Mariana Olejnika, Ewalda Wiśniowskiego. Wzmacniano Górnikę Radlin, żeby w tym mieřcie stworzyć reprezentacyjny klub górniczy. Wtedy w Radlinie zawiązała się opozycja skupiona wokół miejscowego proboszcza. Ludzie zaczęli tysiącami podpisywać listy protestacyjne, że oni nie chcą żadnych przybyszów, nie chcą „goroli”, bo oni mają swoich, dadzą sobie radę i nie będzie im tam żaden Olejnik przychodził, żaden Wiśniowski. My nie chcemy, my sami damy radę. Protesty doszły nawet do katowickiej kurii. Ministerstwo Górnictwa stwierdziło, że nie będzie walczyć z „farorzem” w Radlinie, który na kazaniach mówił, że nie chcą tam ludzi z zewnątrz. W tym momencie, to był rok 1952, może 1953, stwierdzono, że jeśli nie chcą takiego klubu w Rybniku, w Radlinie, w Niedobczycach, to poszukają innego miejsca. Trafiło na Zabrze, bo tam był piękny stadion zbudowany w latach 30. I w tym momencie rozpoczęła się potęga Górnikę.

### *Jaki udział w tym sukcesie miał prezes Górnikę Eryk Wyra?*

Wyra pojawił się później. To był człowiek z Szopienic, rozmawiałem z nim nieraz. Mieszkał tu, na Mikołowskiej. Poszedł w zapomnienie, został potraktowany jak pies, z powodu zachowania człowieka, którego ludzie kochają do dziś – Włodek Lubańskiego. Lubański przyszedł do prezesa Wyry przed jakimś ważnym meczem (chyba z Dynamem Kijów) i mówi, że jak on nie dostanie tyle, to on po prostu w tym meczu nie wystąpi, bo może w każdej chwili ugrać kontuzję. No to Wyra wziął go na sposób. Przywołał jeszcze kilku piłkarzy, mówi: „Dobrze, Włodek, ja to załatwię”. Wziął jeszcze kilku innych, zrobił małą nasiadówkę z radą

drużyny i mówi w obecności innych: „Przed kwadransem był u mnie Włodek, zaszantażował mnie. Panie Lubański, ja się nazywam Wyra, ja jestem z Szopienic, Pan mnie nie będzie szantażował. Pan może nie grać. A wy wszyscy wiecie, jakiego macie kolegę, bo nie przyszedł po pieniądze dla was, ale przyszedł po pieniądze dla siebie. Rozstrzygnijcie to”. Ochrzanił go Ośliżko i Kostka, była awantura totalna. Wiem to na podstawie wielu rozmów z Wyrą i piłkarzami, choć nie wszyscy chcieli to pamiętać. Lubański poszedł do Mitręgi, który był zwierzchnikiem Wyry, poskarżył się, że ten po chamsku się zachował. Mitręga wezwał Wyrę i powiedział mu: „Eryk, słuchaj no, wiesz, dyrektorów mam dużo, a wśród piłkarzy Lubańskiego tylko jednego, ja cię przeproszę”. I tak wyglądała historia z Wyrą. Z tym że Wyra miał dobre stosunki w ministerstwie i jak trzeba było, to klubowi pomagał. Załatwiał oświetlenie, etaty w różnych kopalniach, bo piłkarze żyli w krytozawodownictwie, krytoamatorstwie. Żyli z etatów, z pensji wypłacanych im za niewykonywaną pracę albo za pracę tylko markowaną. Przychodzili raz w tygodniu, było zebranie, a oni opowiadali, jak to mecz wyglądał w Szczecinie, załoga była szczęśliwa, bo miała informacje z pierwszej ręki.

*Potęga śląskiego futbolu to głównie lata 50. i 60. W latach 50. Ruch Chorzów, Polonia Bytom i Górnik Zabrze zdobyły w sumie sześć tytułów mistrza Polski. Ale lata 60. to już jest dziewięć tytułów śląskich klubów.*

Cały czas śląski futbol pozostawał najsilniejszy w Polsce. Mógł zdobywać mistrzostwa. Była Stal Mielec, jakaś Legia coś zdobyła, głównie śląskimi siłami, Wisła w 1978. Ale potęgą była tutaj. Dlatego, że tu koncentrowała się siła przemysłu i przemysł utrzymywał piłkę. I dopiero z czasem, gdy te wzory śląskie z finansowaniem przez zakłady pracy klubów znajdowały naśladownictwo, np. w Łodzi, to konkurencja rosła. Kiedy się to skończyło? Ostatnie tytuły mistrza Polski dla Śląska to rok 1989 i prymat Ruchu. Nieprzypadkowo. W momencie, kiedy się to wszystko zaważyło, kiedy nagle stwier-

dzono, że trzeba wyrzucić sport z zakładów pracy, nie zrobiono jednej rzeczy. Nie stworzono innego systemu finansowania klubów sportowych. A w momencie odcięcia źródeł państwowych zakładów nastąpił regres.

*Ale koniec tej wielkości był niezły, ponieważ, jak zauważyłem, 1988/1989 to jedyny sezon, w którym trzy śląskie kluby opanowały całe podium: Ruch Chorzów, GKS Katowice i Górnik Zabrze. A do tego w lidze grały jeszcze Szombierki Bytom i Jastrzębie.*

Tu był przemysł, zakłady, które miały pieniądze na piłkę, a jednocześnie ludzie piłkę autentycznie lubili. Tego nie można zapominać. W końcu gdyby widzowie przestali przychodzić na mecz, to pies z kulawą nogą nie zainteresowałby się tym sportem.

*Mówił Pan o sztandarowym klubie górniczym, ale potencjał górniczy był na tyle duży, że wydawało się, że może być więcej tego typu flagowych klubów. Próbowano później budować taką potęgę w rybnickim okręgu. Tam się pojawił ROW Rybnik, tam istniał wspomniany Rymer, był Radlin, GKS Jastrzębie, później Wodzisław, ale wcześniej jeszcze drugoligowe Naprzód Rydułtowy, Górnik Pszów. Tam się jakoś nie udało.*

Z jednego powodu. To inna specyfika ludnościowa – to nie Bytom, gdzie mieszka 200 tys. ludzi. To nie Chorzów, gdzie mieszka 150 tys. Nie są to Gliwice, gdzie też jest 150, albo Katowice – 300 tys. Wszystkie te miejscowości miały swoje lokalne ambicje. Nigdy nie dochodziło do porozumienia. To porozumienie, które się pojawiło, było wymuszone przez władze polityczne albo górnicze! Ale jak powstał ROW, to największe tendencje odśrodkowe panowały w okolicy, w Jastrzębiu, w Radlinie. Każdy chciał mieć swój klub. Ruda Śląska, która jest już pół wieku pod tą nazwą, jako twór skupiający kilka, może osiem czy dziesięć samodzielnych jednostek administracyjnych: Pogoń Bielszowice, Grunwald Halemba, Slavia Ruda, Zgoda Bielszowice czy Wawel Wirek, KS 27 Orzegów... W każdej dzielnicy był jeden klub.



Nauczyciel Ernest Pol oraz najzdolniejsi uczniowie: Zygryd Szottysik, Jerzy Musiałek oraz Włodzimierz Lubański.

I jest do dzisiaj. Nigdy nie nastąpiło połączenie. Każdy ośrodek będący dzielnicą miasta miał swoje ambicje, tego się nie dało pokonać. To miało bardzo duże znaczenie kulturowe, społeczne, bo ludzie się utożsamiali z klubem, wokół niego gromadziły się liczne inicjatywy kulturalne, powstawały chóry, teatryki. Teraz to wyszło z mody. Ale nie ma siły, żeby połączyć Uranię Kochłowice z Grunwaldem. Trzeba też pamiętać, że Ruda przed wojną była polska. W Zabrze po 1945 r. nastąpił masowy exodus. Przyszli nowi. Może nie było obrońców tych klubików, które wcześniej tam istniały, i dlatego doszło do fuzji?! A nie były one wielkie ani znaczące.

*Ale mówiliśmy, że w Zabrzu się udało. I przyniosło niesamowity efekt, włącznie z międzynarodowym sukcesem.*

Górnik miał ekipę pod względem sportowym niewyobrażalnie silną. Brakowało tej drużynie szczęścia. To jest anegdota dość znana. Oni wyjechali na finał Pucharu Europy do Wiednia. Żeby dodać graczom werwy, klub wystął autokarem do Wiednia ich żony i narzeczone, żeby sobie zakupy zrobiły. I dostały po 20 dolarów. Przez noc jechały do Wiednia, w śróde rano zameldowały się w hotelu, obudzili chłopaków i wzięły mężów na zakupy na Marienplatz i okolice. I poszli futboliści, łazili kilka godzin, zamiast przygotowywać się do meczu. Finał grano w czasie lodowatego deszczu, na stadionie było 2–3 tys. widzów. Padało cały czas. Anglicy mieli masażyстів, przygotowani byli do takiej gry, mieli specjalne nylonowe koszulki, które się wkładało pod bluzę sportową, i one nie przepuszczały wody. Górnik był zmoczony, szedł na

przerwę do szatni i okazało się, że nie ma kompletu na zmianę. W związku z tym na drugą połowę wyszli w mokrych koszulach. Przy temperaturze 15 stopni, koniec kwietnia. Poza tym ci chłopcy byli na Zachodzie raz na dwa lata. Dostawali dwa dolary diety, byli ogłupieni świadomościowo. Gdyby mieli inne kontakty z Zachodem, to może Polska kilka razy miałaby zwyciężać Pucharu Europy? Legia też w 1970 r. walczyła w półfinale w Feyenoordem, który później zdobył Puchar Mistrzów. Wyjeżdżając na mecz, chłopaki wzięli sobie po 20–50 dolarów. Pech chciał, że akurat złapano tego, u którego zdeponowano pieniądze. Przyjeżdżają do Rotterdamu i walczą przez 90 minut, cały czas mając z tyłu głowy kłopot, bo stracili pieniądze i jest afera przemytnicza! I to były głównie przeszkody kulturowe. Jak Cieślik przebywał na Wyspach Brytyjskich, to autentycznie dostawał propozycje kontraktów na poziomie najlepszych zawodników angielskich. Tylko on nawet do głowy nie dopuścił myśli, że może tam zostać, że może tam grać. Było mieszkanie w Hajdukach i robota w hucie.

*Wspomniał Pan o Legii Warszawa. Jaki był stosunek śląskich klubów do Legii?*

Legia reprezentowała wojsko i reżim narzucony Polsce. Wykorzystano wpływy polityczne, żeby wziąć każdego zawodnika do służby wojskowej, aby grał w tej drużynie. W ten sposób Legia zdobyła pierwszy tytuł mistrza Polski w 1955 r. Jednak 90 proc. zawodników Legii w tym czasie to Ślązacy. Legia w całej swojej historii miała ponad 130 piłkarzy, którzy jako gracze Legii grali w reprezentacji Polski. Wie, Pan ilu tam było wychowanków Legii? Czterech. Legia jest typowym klubem, który żyje z pracy innych, ale też daje im szansę. Jest jeszcze jedna rzecz, o której nie wspomnieliśmy. Gdy po 1970 r. Gierek dogadał się z Niemcami jeśli chodzi o exodus ludzi poczuwających się do niemieckości, pierwszym klubem, który na początku lat 80. miał więcej ligowców w Niemczech, niż zostało ich w Polsce, były Szombierki. Niech pan pamię-

ta, że ze Śląska wyjeżdżali ci, którzy mieli w sobie wiele dynamiki i odwagi, nie musieli mieć pochodzenia. Pochodzenie było ostatnią sprawą. Kto chciał poprawić swój los, to wyjeżdżał. Nie wyjeżdżali starzy, tylko młodzi. Jak się dzisiaj idzie na trening Szombierek i widzi się tych połamane, których tam jest dwudziestu, to ja sobie przypominam, że jako dziennikarz jeździłem i widziałem na pięciu placach dziesięć grup kopiących piłkę, młodych liczone setkami.

*Ale istniało jeszcze coś takiego jak przywiązanie do barw klubowych – Gerard Cieślik jest tego przykładem. Czy to wynikało ze słabości rynku transferowego?*

Kiedyś zawodnik podpisywał kartę zgłoszenia do klubu i mógł z własnej woli odejść po tak zwanym roku karencji. Przez rok nie mógł nigdzie grać. Składał podanie o zwolnienie, klub nie mógł nic zrobić, piłkarz mógł się dogadać z innym klubem. Natomiast kwestia przywiązania do barw klubowych wywołuje u mnie ambiwalentne uczucia. Bo wie Pan, jak w Zgodzie Bielszowice pojawia się talent na miarę Wilimowskiego, to co – on ma być wierny klubowi? No nie. Nie wiadomo, jaką miałby sławę, może Pelego, może Cieślika, gdyby został w Anglii, prawda? Jeśli chcemy to pojęcie jakoś urealnić, to od wielu lat nie ma możliwości, żeby ludzi przywiązywać do klubu, skoro oni mają szansę zrobić większą karierę, na wyższym poziomie, w innych warunkach wykorzystać w pełni swój talent. Kiedyś ludzie nie mieli szans na mobilność życiową, a przecież na Śląsku mieli pracę, godziwe zarobki, byli wśród „samyh swoich”.

*Ale mamy przykład Lubańskiego, który jednak zrobił karierę na Zachodzie.*

A jaką by zrobił, gdyby poszedł pięć lat wcześniej? Większą. On poszedł już po kontuzji. Poza tym to nie była wielka kariera. Lokeren – co to był za klub? Dochodzili do trzeciego, czwartego miejsca w lidze belgijskiej. To nie Bundesliga, to nie Premiership.



Stadion Śląski z lotu ptaka – mecz z Anglią w eliminacjach mundialu, 6 VI 1973 r.

*Mówimy o śląskiej piłce, ale – w kontekście Stadionu Śląskiego – warto może powiedzieć coś o piłce na Śląsku.*

Stadion Śląski budowano od początku lat 50. Równocześnie w Warszawie budowano Stadion Dziesięciolecia, który miał być gotowy na Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów. Śląsk nie chciał być gorszy, miał pieniądze, był Ziętek. Wpadli na pomysł – to my zrobimy lepszy. I zrobili lepszy, ale to był stadion w konstrukcji ziemnej. Budowali go biedni, kiedy nie było techniki, brakowało na inne rozwiązania, na żelbet czy na stalowe konstrukcje. I wybudowano ten stadion w zasadzie siłą niewolników, którzy nosili kamienie, wylewali beton itd.

Bo to było najtańsze, na to było stać państwo. Stadion był dobry na ten 1956 r., kiedy go otwarto. Ale w świecie już w latach 50. budowano stadiony zupełnie inne. Konstrukcje żelbetowe, inne trybuny, doskonała widoczność itd. Widoczność na Śląskim jest nie do przyjęcia. Tak się od dawna nie buduje stadionów. Jak w Anglii jesteśmy na meczach ligowych, to czuję, jakbym był trzy metry od zawodnika, słyszę, co on mówi do trenera. A na Śląskim nie widzę numeru na koszulkach graczy. To jest nie do oglądania. Poza tym Stadion Śląski ma takie dojazdy i taką komplikację komunikacyjną, jakiej nie ma żaden stadion na świecie. Linie tramwajowe, autobusowe, komunikacja w jedną stronę, w drugą stronę, wąskie uliczki, ruch

pieszych na terenie stadionu itd. itp. To ja, mając tutaj w linii prostej 4,5 km do stadionu, po meczu, gdy wychodzę godzinę po wszystkich konferencjach do samochodu, jadę do domu na Brynów 1,5 godziny! Natomiast na wszystkich stadionach Bundesligi zasada jest taka, że od ostatniego gwizdka sędziego do uruchomienia samochodu na parking i wjazdu na autostradę nie może upłynąć więcej niż kwadrans! Jestem architektem, robiłem dyplom, projektując stadion, byłem na dwudziestu imprezach typu mistrzostwa świata, mistrzostwa Europy, igrzyska olimpijskie, na dwudziestu turniejach. Widziałem mnóstwo obiektów na całym świecie. Jak zaczęto w 1993 r. dyskutować o przebudowie stadionu, wysłałem pismo do wojewody, że chętnie bym pomógł i doradziłem. Odpisano mi, że dziękujemy, pomyślimy, jeśli będzie taka potrzeba. Nie było...

*Ale ludzie jednak na Śląski przychodzili. Padł tam nawet rekord frekwencji – 120 tys.*

Było 108 tys. Ale to nie jest istotne. Ludzie przychodzili, bo nie mieli skali porównawczej. Nikt nie jeździł na Zachód i nie wiedział, jak wygląda. Natomiast w świecie budowano inne stadiony. Trzeba było mieć na to pieniądze. W Polsce nowoczesny stadion zbudowano jedynie w Mielcu, gdzie w połowie lat 70. powstał stadionik Stali Mielec. Zakłady lotnicze miały dość pieniędzy i stworzono stadion piękny, betonowy, jeszcze bez przykrytych trybun, ale ładny.

*To wróćmy jeszcze do samej piłki. Mimo konstrukcji stadionu na Śląskim jednak sporo się działo. „Kocioł czarownic” – skąd takie sformułowanie?*

Użył go angielski dziennikarz „The Daily Mail”, który po meczu tak obrazowo chciał usprawiedliwić porażkę Anglii [Polska–Anglia 2:0 w 1973 r. – przyp. A.D.] – stwierdził, że grali w kotle czarownic, piekle czarownic. Śląski to jest cała historia polskiej piłki. Tutaj było ponad pół setki meczów reprezentacji – wszystkie znaczące dla polskiej piłki.

Archiwum Andrzeja Gowarzewskiego



Jan Liberda z Bytomia oraz Ernest Pol z Rudy (jeszcze nie Śląskiej!) – wielcy artyści piłki.

*Rok 1957, pamiętny mecz ze Związkiem Radzieckim, wygrany 2:1. Strzelec dwóch bramek Gerard Cieślík wspominał, że kibice szaleli i dostali się wszędzie, również do szatni.*

Wie pan, kto chciał, to tam przeszedł. Ja się nie dostałem, bo byłem z ojcem i nie mogłem ruchu zrobić, a też do głowy mi nie wpadło, że można na murawę wejść.

*Jak dalece to było kibicowanie sportowe, a w jakim stopniu polityczne?*

Przychodzili ludzie, którzy interesowali się piłką, to nie ulega wątpliwości. To był ważny mecz pod względem sportowym, bo szło o awans do finałów mistrzostw świata, na których nie byliśmy od 1938 r. A istniała szansa. Wcześniej był mecz w Moskwie, gdzie przegraliśmy 0:3. W związku z tym nikt nie mógł przypuszczać, że akurat Polska wygra. Przyszli dla piłki, a – że zbiegło się to z sytuacją polityczną,



Archiwum Andrzeja Gowarzewskiego

Niebieski, bo z Ruchu – Gerard Cieślik, drugi z lewej w górnym rzędzie, członek ekipy Górnika Zabrze podczas tournée po ZSRS, wrzesień 1955 r.

z przełomem październikowym w Polsce, z pokonaniem Ruskich, którzy byli tutaj szczególnie znienawidzeni – spowodowało to, że narodziła się legenda. A później przez trzydzieści kilka lat o tej legendzie nie można było głośno mówić.

*W jakim stopniu polityka mieszała w piłce?*

Mieszała i cały czas miesza bardzo mocno.

*Czy w PRL było to lepiej widoczne? Jak np. Ziętek odnosił się do piłki nożnej?*

Tolerował fascynację ludzi, choć nie był znawcą piłki. Kiedy Górnik czy Ruch zdobywały tytuły, to ich przyjmował, poklepał, dał nagrody z funduszu czy zegarki. Pogadali sobie, wypili piwo,

ale to nie był facet na poziomie kibicowania, emocjonowania się piłką.

*Na Śląsku pojawiła się cała plejada graczy świetnych, na międzynarodowym poziomie. Jak, według Pana, wygląda ranking najwybitniejszych śląskich piłkarzy?*

Pan pyta o najlepszych graczy. Dla mnie zawsze najlepszy będzie Wilimowski. A później byłaby grupa dwudziestu kilku piłkarzy, z których każdy miał niepowtarzalne zalety, ale także miał jakieś mankamenty. Edward Szymkowiak w bramce. Takiego bramkarza nie było. Samorodek, który miał fenomenalny talent i był niesłychanie sprawny. Natomiast nigdy nie nauczył się grać poza bramką, bo

miał chyba jakieś kłopoty z błędniakiem. To znaczy trzymał linię, a jak piłka szła na piąty metr, to nie miał odwagi do niej ruszyć. Z kolei Hubert Kostka był człowiekiem, który może nie miał takiego talentu, ale nadrabiał to pracowitością. Trenował gimnastykę, jeździł do szermierzy, do Czajkowskiego, do Gliwic, gdzie ćwiczył refleks. Po tym, jak Anglicy z Manchesteru United staranowali go w polu karnym, Kostka chodził na treningi bokser-skie. Później to jego się bali. Napastnik już nie wchodził do niego tak jak wcześniej. Z graczy z pola na pewno Oślizło był niepowtarzalny. Widziałem też w jednym czy w dwóch meczach Szuszczyka, o którym słyszałem legendy. To facet, który rządził wszystkimi, nawet Cieślik się go panicznie bał. Wiąże się z tym autentyczna historia. Gdy Szuszczyk brał ślub, to miał na imię Gerard. I jak szedł po te kwity do urzędu stanu cywilnego, powiedzieli mu, że ma takie ładne nazwisko, ale imię nieładne: „Zmieniłby Pan na jakieś polskie”. Podobno go postraszone, że nie dostanie zgody na ślub. I w urzędzie wybrali mu imię Czesław. Machnął na to ręką. Tylko w Ruchu czasem to wracało, bo mawiał – czy tylko żartem? – że on tego Gerarda Cieślika to nienawidzi – „on wziął ślub i ma na imię Gerard, a ja wziąłem ślub i jestem Czesław”. A był to piłkarz fenomenalny. Genialnie strzelał rzuty karne w Ruchu. Z kolei w reprezentacji miał taką pozycję, że nawet po zmarnowanych kolejnych rzutach karnych drużyna pozwalała mu strzelać. W drużynie był kimś. Lubański miał olbrzymi talent. To też był samorodek, ale trafił przy tym do dobrego klubu, do ludzi życzliwych, bo taki Pohl, Kowalski, Wilczek, oprócz tego, że to były indywidualności sportowe, mieli dość rozumu, aby nie zazdrościć. Kiedy zobaczyli, że przychodzi Lubański i ma talent, to mu nie szkodzili. Bo wie Pan, w innych klubach to było tak, że jak przyszedł utalentowany gracz, to mu się rzuciło kilka piłek na zapalenie płuc, do których nie dochodził i później: „Panie trenerze, on jest za wolny, jo mu tam doł taki bał, a łon...” I faceta kasowali. A rozwój Lubańskiego był szybszy, prostszy i on w pełni wykorzystał swój talent dzięki partnerom.

Gdyby odszedł, mając 20–22 lata, na Zachód, to byłby innym zawodnikiem. Dlatego że Polacy przynajmniej do lat 80. w sensie talentu nie ustępowali nikomu. W tej chwili mówi się, że dominują Hiszpanie... Ale myśmy tłukli Hiszpanów bez przerwy, przez całe dziesięciolecie. Ludzie tego nie pamiętają. Kiedy Pohl wychodził przeciwko Hiszpanom, a gdzie tam Pohl, Gerard Rother („Czerwony” go nazywano, bo był rudy), jak wychodził, to mówił: „Jo tego Kubala tak ino tyk, tyk i już”. Oni wygrywali z Barceloną. Gieksa na przykład.

*No właśnie, jesteśmy w Katowicach, a o GKS-ie nie powiedzieliśmy ani słowa. Przypadek?*

GKS istnieje... Pozycja Gieksy jest efektem toczących się sporów, konfliktów kompetencyjnych, ambicjonalnych, politycznych, wszystkich złych mocy, które w innych warunkach mogłyby stworzyć bardzo silną strukturę, liczącą się chociażby w krajowej rywalizacji. A w tej chwili jedna siła kasuje drugą i jest stan niebytu, w którym trudno mówić o rozwoju czy postępie.

*W sumie cztery kluby ze Śląska zdobyły mistrzostwo Polski: Górnik, Polonia, Szombierki i Ruch, ale GKS nigdy. A czym dla Pana jest piłka nożna?*

Dla mnie piłka jest ważnym zjawiskiem kulturowym. Wychowałem się w miejscu i w rodzinie, gdzie nie było tradycji sportowych. Miałem dziesięć lat i wygrałem w konkursie „Dziennika Zachodniego” kartę wolnego wstępu na cały rok na mecze Ruchu. Musiał mnie tam zawozić ojciec, bo z Szopienic do Batorego jeździło się godzinę zatłoczonym tramwajem. Jak zacząłem przychodzić na Ruch, to wybierałem to samo miejsce po lewej stronie, prawie na wysokości pola karnego. Tam byli zawsze ci sami ludzie. Oni do mnie po iluś tam meczach wołali: „Cześć, mały”. Mówili, co się dzieje na boisku. Znali się na piłce genialnie. To byli hutnicy, górnicy, ludzie bez wyższego wykształcenia na pewno, ale rozumieli piłkę, znali się, choć nie było telewizji. A oni wiedzieli wszystko: „Dzisiaj będzie





Trzej Ślązacy – Gerard Cieślik, Edward Szymkowiak i Henryk Kempny przed historycznym meczem i zwycięstwem 2:1 z ZSRS na Stadionie Śląskim, 20 X 1957 r.

ciekawie, bo ze Szczecina Pogoń przyjechała. Był taki młody synek, on się Kielec nazywa, zobaczymy, czy on jest tak dobry, czy Antek mu poradzi” (Antek to był Nieroba). Nagle jest mecz, oni to komentują, ja cały czas słyszę ich oceny. Gdybym zaklął, od razu bym od nich dostał w ryło, nie? Chociaż oni tam sędziogo też ćwiczyli. Słyszałem, jak rozmawiają o tym Kielcu. Kielec miał osiemnaście lat, Pogoń

przegrała 6:0 czy 6:2. Ci ludzie mówili: „Ten Kielec jeszcze rok dwa i to będzie reprezentant, bo on naprawdę umie grać, on ma talent”. Pogoń schodzi, przegrywa 6:2, a ten stadion, 20 tysięcy ludzi, wie pan, kogo oklaskuje? Kielca. Nie Ruch, który wygrał, ale Kielca. Mam taką teczkę, w której zbieram opinie o widzowni. Najlepsza widzownia na świecie, w Polsce, była w Chorzowie, bo się znała,

bo była sprawiedliwa. Jak Ruch grał słabo, to Niebieskich wygwizdali, mimo że wygrał 5:0. Oni się po prostu znali.

*Widział Pan mnóstwo meczów. Czy któreś spotkanie szczególnie utkwiło Panu w pamięci?*

Najlepszy mecz piłkarski polskiej drużyny, który widziałem na żywo, a widziałem wszystkie drużyny ligowe i pucharowe mecze, to mecz Ruchu w 1975 r. z Saint Etienne, kiedy po 45 minutach Ruch, grając fenomenalną piłkę, prowadził 3:0. Potem wyszedł na drugą połowę i przez 15 minut tych Francuzów, którzy stanowili wtedy w zasadzie o kondycji reprezentacji Francji, bardzo wysoko notowanej, ośmieszał. I w 60 minucie, kolejna czwarta czy piąta „setka” [stuprocentowa sytuacja – przyp. A.D.] po przerwie niewykorzystana przez Ruch, idzie kontra i Francuzi strzelają bramkę. Jest 3:1. Ruch – jakby zeszło z niego powietrze. Za chwilę padła druga bramka dla Francuzów. Ruch atakował do końca, ale już nic nie zmienił. Pojechali do Francji – przegrał chyba 2:0. Ale w pierwszym meczu, do momentu straty pierwszej bramki, futbol, jaki Ruch robił, był genialny. Oni chcieli wygrać 5:0. Gdyby byli cwani, gdyby mieli za sobą kontakty międzynarodowe, to by te 3:0 wytrzymali po to, żeby tam zremisować albo przegrać jedną czy dwoma bramkami i awansować. Wspaniała gra, ale w telewizji Pan nie znajdzie zapisu tego meczu. Dlaczego? Nie wiadomo. Nie robił transmisji Jan Ciszewski, który przez kilkanaście lat był dla milionów Polaków symbolem dobrej piłki i zwycięstw Polaków. Bo Ciszewski kiedyś powiedział tak: „Andrzejku, gdybym ja chciał zarabiać pieniądze, to ja bym wszystkie kluby obskakiwał. Ale ja byłem zawsze wierny Górnikowi”. Żadnego innego klubu nie robił. Nikt tego nie zauważył, a on to powiedział. Ruch chodził do niego z workiem pieniędzy, żeby to on przeprowadził transmisję. Mecz z Francuzami odbywał się bardzo późno wieczorem, czyli następnego dnia były tylko krótkie wzmianki w gazetach. Ruch nie wygrał tak, jak się zdawało, poszło to w zapomnienie. Takiej gry polskiej drużyny jednak nie widziałem. Nie

mówię o reprezentacji, bo reprezentacja miała piękne mecze, ale to z Ruchem – było coś wyjątkowego.

*Dlaczego ludzie wciąż fascynują się piłką nożną?*

W piłce nic nie można kupić. Nie da się kupić mistrzostwa. Nie znam takiego przypadku. Bo gdyby pieniądze decydowały, to mistrzowie najwięksi byłiby w Katarze, w Arabii Saudyjskiej, w Dubaju. Oni tam mają straszne pieniądze, ale jakoś im nie wychodzi. Chiny są potęgą i nic. A Hiszpania nie jest największa i ma w tej chwili swoją szansę, choć ona się powoli kończy, już Pan nie zobaczy hiszpańskich zwycięstw. Mogę się zakładać. Na kogo stawiać? To już jest trudniejsze pytanie.

*Dziękuję za rozmowę.*

**Andrzej Gowarzewski** – architekt i dziennikarz, znawca i historyk piłki nożnej, autor i współautor 90 książek o tematyce sportowej (głównie piłkarskiej), m.in. *Encyklopedii piłkarskich mistrzostw świata* (1990); twórca, autor i edytor idei encyklopedii piłkarskiej Fuji (od 1991 już 71 tomów). Mieszka w Katowicach.

